

Feliks W. Kres

KLEJNOT I WACHLARZ

czyli
zdumiewająca i niezwykła historia
dotycząca
przeklętej przez Boga i ludzi,
ogarniętej wojną prowincji Valaquet
w Roku Pańskim 1630,
specjalnie zaś opowieść o losach
dwojga ludzi,
których czyny odcisnęły swe piętno
w historii
Zjednoczonych Królestw.

Łódź, wrzesień 2003

Ponoć w zamierzchłej przeszłości zwano nas Niszczycielami. Służyliśmy pradawnej mrocznej potędze, noszącej imię Egaheer. Choć wcielała się w różne kształty, to jednak nie była istotą – ani żywą z kości i krwi, ani nadprzyrodzoną. Była zjawiskiem, takim jakim jest życie. Mogła je zastępować. We wszystkich krajach, które widziałem – a doprawdy widziałem ich wiele – znajdowałem ślady jej obecności. W Valaquet bawiła się starymi kultami, w Saywanee nie pozwoliła umrzeć ostatnim kotom Mordercom, w Starej Ziemi Heastseg drwiła z samego Boga Ojca. Mogła się nazywać Semena Sa Veres, równie dobrze, jak Elena Bon-Arpat, albo Elżbieta Molley. Przyjąłem służbę u niej nie wiedząc, po co właściwie to czynię. Bom był młody. Bo wojna, w której brałem udział, nie miała wcale sensu – księżę Harold nie miał słuszności, nie miał jej także król, widziałem to bardzo wyraźnie. Aż przyszła piękna tajemnicza kobieta i rzekła: „Mości poruczniku, czyżbyś nie chciał służyć jakiejś innej sprawie niżli ta tutaj, żalosna awantura? Zyskasz sławę, władzę, bogactwo i zaszczyty, staniesz ponad książętami krwi, będziesz zawierał sojusze z samym Bogiem albo z samym diabłem, przeciw Bogu albo przeciw diabłu. Będziesz wspierał stare kultury i magię, bądź tępił je do szczętu na mój rozkaz. Czy przyjmiesz u mnie służbę?”.

Przyjąłem.

Nie odbyło się to przecież tak szybko i prosto, jakem pokazał wyżej. Ale wszystkie powody, dla których uczyniłem to, co uczyniłem, zakłęto w owej pokusie: zyskasz sławę, bogactwo, zaszczyty, staniesz ponad książętami krwi.

Tak się stało. Przywołując moją panią, sprowadzałem potęgę, z którą nie chciał walczyć nawet Bóg. Nie rozumiałem, dlaczego. Czy dlatego że – podobnie jak Mordercy z Saywanee – nie należała do świata, który stworzył? Przybyła skądś, może uciekła spod władzy innego Stworzyciela, władcy innej ziemi i innego nieba... Wypędzony demon, straszny i potężny, lecz poniekąd chyba użyteczny. Bo żywiła się walką z każdą magią, umiała stawić czoło nawet piekłu i zdawało mi się, że Bóg może takiego żywiołu potrzebować. Choć zapewne tylko do czasu, gdy ów żywioł nabierze zbytnej mocy... Co wtedy? Czy przeznaczeniem Egaheer była wieczna tułaczka od jednego świata do drugiego? Zresztą nie pojmowałem jej istoty i praw, jakim podlegała; wszelkie domysły bardziej były jałową spekulacją niżli rozumowaniem opartym na mocnych podstawach. Wyraźnie widziałem to tylko, że najbardziej Egaheer stanowiła ucieleśniony kaprys, zachciankę. Nie bez kozery zaiste zawsze kryła się w kobiecej, albo chociaż samiczej postaci, gdy – choć rzadko – uciekała w skórę zwierzęcia.

„Nigdy dotąd” – rzekła, gdy porzucała u niej służbę – „nikt ode mnie nie odszedł. To nowe, ciekawe i podniecające. Niemniej jednak zuchwałe i myślę, że powinnam cię zabić. Ale tego nie zrobię, bo nie” – wytłumaczyła leniwie, a było to najobszerniejsze ze wszystkich jej tłumaczeń. „Jesteś wolny. A teraz dobre rady. Jesteś tylko człowiekiem. Doskonale władasz pistoletem i szpadą, zebrałeś niemało doświadczeń, jesteś odważny i rozumny, masz pieniądze, masz wreszcie znane nazwisko. Możesz nie obawiać się bliźnich. Ale ja już nie przybędę na twoje wezwanie. Zostałeś sam, pamiętaj. Czy na pewno chcesz odejść?”.

Odszedłem.

W Lazenne, stolicy Zjednoczonych Królestw, znany byłem pod prawdziwym nazwiskiem kawalera Del Wares. Nie zagrzałem tam miejsca; zrazu, nieprzywykły do bezczynności, odbywałem liczne podróże – ałem przestał, ujrzawszy wojnę w Werwalu, a potem drugą, domową, w oddzielonej od korony prowincji Valaquet. Dość miałem wojen i rzezi, obrzydły mi intrygi, rapier i żołnierskie życie w drodze. Może być, że porzuciłem swą służbę tak samo, jak wcześniej na nią wstąpiłem: powodowany impulsem albo może zwykłym kaprysem. Czyż nie byłem podobny do tej, której służyłem i od której na koniec uciekłem? Tak jak niegdyś łaknąłem przygody, wielkich czynów i sławy – teraz życzyłem sobie dostatniego, spokojnego życia, najlepiej w majątku na wsi. Najbardziej zaś pragnąłem samotności. Bóg zaś, chcąc mnie pokarać za to, że po wielokroć butnie stawałem przeciw Niemu, spełnił moje życzenia. Wkrótce gotów byłem diabłu duszę zaprzedać, byle wyrwać się z przykrej bezczynności. Tak, zaprzedać duszę... Diabłu – ale nie Egaheer. Bo nie bałem się Szatana ani żadnych demonów, żadnej magii. Nie bałem się nawet Boga. Czulem natomiast trwogę, wspomniawszy swą dawną panią.

I jakże szybko przyszło mi żałować, że nie posłuchałem owej zastarzałej trwogi! Było mi uciekać na kraj świata, gdzie psy zadkami szczekają, miast biernie czekać na tyleż dającą się przewidzieć, co nieuniknioną katastrofę. Zażądano mojego powrotu na niechcianą służbę, a były po temu powody. Jakem to już rzekł wyżej, w Valaquet trwała właśnie wojna domowa, obmierzła i przewlekła, rozpętana przez matkę przeciw córce, może zresztą przez córkę przeciw matce, sam czart nie doszedłby prawdy. Przekłętę spadkobierczynię Świeckiego Zakonu Rycerskiego, który przed wiekami mieczem i do cna splugawionym krzyżem zniszczył połowę świata, szarpały na strzepy schedę po swych dziadach, nieszczęsną prowincję stu tysięcy zbrodni i miliona grobów. Ale nie koniec na tym, bo po władzę sięgnął tam ktoś jeszcze, a mianowicie dziwna i straszna królowa wiecznego mrozu, pani śniegu, czerpiąca swą moc z prastarej potęgi, którą jakże mylnie wzięto za zwykłą magię, pisaną węglem i kredą...

Opowieść tę trzeba jednak zacząć od historii jedyne go sprawiedliwego w całej prowincji Valaquet: od dostojnego Roberta hrabiego Se Rhame Sar, człowieka tak niezwykłego, że nie spotkałem w życiu nikogo, kto byłby doń jakkolwiek podobny, choć przeżyłem lat dziewięćdziesiąt i siedem, a nie były to puste lata. Człowiekowi temu winien jestem hołd i dobrą pamięć, a dlaczego, to się wkrótce pokaże. Matką hrabiego Roberta była pani z rodu Ayhoe, dostojna Weronika Teresa Del Valaquet hrabina Se Alide Sar, Pierwsza Dama Bractwa Rycerskiego, z woli króla (czy też lepiej: za niechętnym króla przyzwoleniem) namiestniczka Prowincji Valaquet, starszymi siostrami zaś dostojne panie Wanesa i Ranela. Miał

hrabia jeszcze dwie młodsze siostry, Annę Jasenę oraz Annę Luizę – przepiękne bliźniaczki, niewiele ustępujące mu w latach. Ojca hrabia nie znał, lub raczej nie pamiętał; niezwykle ten człowiek (zasługujący na osobną opowieść, lecz pozostający bez żadnego wpływu na opisywane tutaj wydarzenia) zginął nieszczęśliwą a tragiczną śmiercią, ledwie zdołał ujrzeć najmłodsze swoje córki – upatrywano w tym nawet zapowiedzi nieszczęść, co ziściło się, niestety, najzupełniej. Dorastający Robert żywił szczególną słabość do jednej z młodszych swoich sióstr; wreszcie wyznać trzeba bez ogródek, wbrew prawu naturalnemu durzył się w pięknej Annie Luizie, najpierw jako chłopiec, potem zaś młody mężczyzna – i była to skłonność chętnie odwzajemniania. Lecz usatkwawszy się, postawił tamę swojej namiętności, wkrótce zaś ożenił się szczęśliwie, bo z wybranką serca, a to przecież jest warunek najzupełniej do szczęścia niezbędny. Niestety! Wyszło niebawem na jaw, że za sprawą rodzinnego klejnotu jego żony została wskrzeszona stara klątwa, przed którą widocznie nie mógł uciec żaden spadkobierca tradycji Świeckiego Zakonu. Artefakt z zamierzchłej przeszłości, diamentowa kolia od dawna będąca w posiadaniu jej rodziny, ale pochodząca nie wiadomo skąd (bo dzikie pogańskie plemiona Valaquet na pewno nie umiały wytwarzać takich rzeczy), przeobrażała hrabinę w śnieżne monstrum, królową lodu i śniegu, niszczącą wszystko wokół niebывалым mrozem. Odkrywszy to, hrabia uciekł od żony i odnowił tajemny romans z dostojną swoją siostrą; lecz gdy ta zaszła w ciążę – o czym nieszczęsny sprawca nie wiedział – oddalono go z Valaquet. Na rozkaz matki wyjechał do Lazenne, by w stolicy u boku króla spędzić bez mała trzy lata. W tym czasie pani Anna Luiza poroniła owoc swojej zakazanej miłości, a wolno sądzić, że obyło się to nie bez pomocy... O porzuconej hrabinie Helenie, wciąż przecież pełnoprawnej małżonce pana Se Rhame Sar, zapomniano, albo raczej nie chciano pamiętać; zresztą słuch o niej przepadł, mieszkała w swoim hrabsTwie niczym na wyspie bezludnej, nigdzie nie bywając i nikogo do siebie nie prosząc. Po powrocie z wygnania jedyny syn wicekrólowej niczego już nie znalazł takim, jakie zapamiętał. Księżna Se Potres, najstarsza jego siostra, ambitna po matce, a porywczą po ojcu, wypowiedziała posłuszeństwo dostojnej swej rodzicielce, czarę zaś przepęłniły miłostki tej ostatniej; miłostki, dodajmy koniecznie, którym oddawała się z własnym swoim zięciem, Bernardem księciem Se Potres. Wojna domowa, wojna o władzę i mężczyznę, wisiała na cienkim włosku. Hrabia Robert próbował jej zapobiec; nadaremnie. W spiskach i knowaniach wszystkich przeciw wszystkim postradała życie nieszczęśliwa Anna Luiza, wciąż skrycie kochana przez Roberta. Niezasłużenie, bezwinnie przeklęty i odrzucony przez tych, których kochał, hrabia Se Rhame Sar wrócił do swej groźnej małżonki, która jako jedyna wciąż miała dla niego tkliwe ciepło. Lecz, niestety, dla innych miała tylko mróz. Zrodzone z prastarej potęgi zawieje śnieżne i wichry jęły niszczyć całe wioski i miasta, jakby nie dość było wojny domowej i nieszczęść, które ze sobą niosła. Sprawczyni tych kataklizmów nie umiała, pomimo starań, zapanować nad swymi mocami. Szlachetny hrabia Robert odzyskawszy żonę, zdołał pokochać ją na nowo, nadto dobrze rozumiał jej mękę i starania, doceniał neutralność, którą zachowała w toczącej się obok wojnie – bo nie chciała władzy dla siebie – lecz nie umiał patrzeć na zagładę setek domów i tysięcy istnień. Wyczerpawszy wszystkie możliwości, półoszalały od wyrzutów sumienia i zgryzoty, uczynił rzecz ostateczną, a mianowicie otruł jedyną istotę, którą jeszcze kochał poranionym przez najbliższych sercem. Wreszcie – doświadczony przez życie tułacz, posiwiwały na skroniach w wieku lat dwudziestu i siedmiu – przyjął nominację na wodza wojsk swej siostry, toczącej zmagania z matką, a uczynił to z wyrachowania, obsesyjnie bowiem uwierzył w klątwę ciężącą nad Rycerskim Bractwem. Uroiwszy sobie, że doprowadzi do jego upadku – więc upadku własnej rodziny – a tym samym do wyzwolenia nieszczęsnego kraju, sprzymierzył się z tajną emisariuszką, wysłaną do prowincji Valaquet przez młodego króla Karola. Była to pani Dorota Atheves, w Lazenne królewska powiernica i faworyta, która przybyła do Valaquet by knuć intrygi i spiski; w interesie królestwa leżało, by wojna domowa nie zgasła; by dwie armie wykrawały się nawzajem do szczętu, dając pole pułkom prawowitego monarchy. Przecież najbogatsza w królestwie prowincja od półtora wieku z okładem trzymana była przez spadkobierców i spadkobierczynie Bractwa tylko prawem kaduka, a raczej na mocy prastarego traktatu, który w nowych czasach winien zostać zrewidowany. I być może pani Atheves (po cichu posądzana o paranie się najmroczniejszą magią) przy pomocy generała Roberta dopięłaby swego celu. Lecz zażądała lodowej kolii zamordowanej hrabiny; może bała się, że ktoś zdoła użyć jej prastarych mocy jako potężnej broni? Może chciała użyć ich sama?... Hrabia odnalazł kolię, lecz nie ufając Dorocie Atheves, postanowił ją ukryć albo zniszczyć, wybornie rozumiejąc, jaką klątwę ściągga ten klejnot. Tropiony jak zwierzę, dokazywał istnych cudów przebiegłości i męstwa, lecz na koniec znalazł się w potrzasku. Próbowала mu wtedy dopomóc druga z młodszych sióstr, dostojna Anna Jasena, która odstąpiła od boku zbrodniczej matki i prosiła go o przebaczenie. Wyszło na jaw, że biedne bliźniaczki takie same miały nie tylko twarze. Skrycie zakochana w swoim bracie, pani Anna Jasena przez całe młode życie cierpiała niewymowną udrękę, odrzucona i niedostrzegana przez najdroższego jej człowieka. Poznawszy tę tajemnicę, Robert Se Rhame Sar oddalił siostrę od swego boku, bo nie śmiał wrócić na drogę kazirodczego występku, który widział mu się przyczyną wszystkich nieszczęść. Nie wiedział jednak, że w ten sposób prowokuje nieszczęście kolejne: zrozpaczona młoda kobieta, gdy zabrano jej ostatnią nadzieję, poniosła śmierć z własnej ręki. Ujrzawszy swą siostrę powieszoną, dostojny Robert, osaczony przez prześladowców, nie mający już nadziei na ucieczkę, dał upust najgorętszym pragnieniom i pozwolił, by straszny klejnot na powrót tchnął życie w ciało nieszczęsnicy. Pani Anna Jasena została więc wskrzeszona, lecz dostała się zarazem we władzę mrocznej potęgi, jej brat zaś zniknął i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Domniemywano powszechnie, że umarł; że odebrał sobie życie, nie mogąc dłużej dźwigać przekleństwa będącego ponad siły człowieka. I tak oto przedstawiały się sprawy, gdy wrócił na służbę u swej pani. „Mój Del Wares” – kazała mi przekazać – „oto wrócisz do mnie na służbę, a wróciwszy, wybierzesz się do Valaquet. Sprawdzisz, czy hrabia Se Rhame Sar nie żyje. Jeśli

jest inaczej, wykorzystasz go, a mianowicie skłonisz, by wrócił do swej siostry Jaseny, dał jej to, czego ona przez całe życie pragnęła, w zamian zaś zażądał, by trzymała na wodzy swą lodową magię, gdy wojska króla Karola przekroczą granice prowincji”.

Uznałem to za intrygę szaleńca. Lecz nieprawda! To ja sam byłem szalony. Zdało mi się bowiem, że wystarczy odmówić... i odmówiłem, a jakże. Odmówiłem powrotu na służbę. Co zdarzyło się wówczas, przedstawiłem już w osobnej kronice, niecelowe jest więc tutaj powtarzanie tego. Dość powiedzieć, że odmowa nie zdała się na nic, bom pół roku później stał na granicy Valaquet z zamiarem odszukania kości hrabiego, odszukania lodowych upiorów, a wreszcie odszukania swego miejsca na świecie, bom wyraźnie dotąd go nie miał...

„Pamiętniki kawalera Del Wares, a później hrabiego Se Quet i markiza Del Alasar, obejmujące lat dziewięćdziesiąt i siedem życia spędzonego na licznych wojnach, w ogólności w służbie Ich Królewskich Mości Karola XVII, a potem Ludwika Heveta III i Karola XVIII, specjalnie zaś tajnego emisariusza stowarzyszenia... spisane przez niego samego”.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Czerwona kareta

Domy Reus – tak nazywano tajemnicze i dziwne miejsce leżące przy Szlaku Krzyża Świętego. Szlakiem Krzyża przed wiekami wyruszyli chrześcijańscy rycerze, by pogańskim ludom na wschodzie zanieść światło wiary. Nikt nie wie na pewno, co znaleźli w miejscu znanym jako Domy Reus. Krążą opowieści, że stała tam wioska, której mieszkańcy wiedli żywot niesłuchanie plugawy, obcując cieleśnie z własnymi córkami i matkami. Ale równie często mówi się o żeńskim klasztorze – mniszki miały sprzedawać swe ciała podróżnym bądź też mordować ich; nie wiadomo, co bliższe prawdy. Poszukawszy, można by pewnie znaleźć dziesięć innych bają i legend dotyczących tego miejsca. Dość, że rycerze krzyżowi, ujrawszy ohydę, wytępiłi zło mieczem i ogniem. Nie do końca... Oto bowiem w każdą rocznicę zagłady Domów Reus, w miejscu gdzie stały, pojawiają się ich widma. Lecz znów: nikt nie potrafi powiedzieć, co za budynki mającą pośród zimowego zmierzchu. Czy to mogą być zarysy klasztoru? A może jednak zaniedbane wiejskie chaty? Spośród tych, którzy widzieli zjawisko, każdy opowiada co innego.

Tyle właśnie – i zupełnie nic więcej – zdołał się dowiedzieć postawny trzydziestoletni szlachcic, od dwóch dni bawiący w Moun. Odwiedził wszystkie gospody i karczmy w mieście, pytał przypadkowych ludzi na rynku, ba! złożył nawet wizytę proboszczowi miejscowej parafii i był w klasztorze bertystów, wychodząc z założenia, iż osoby duchowne winny mieć dokładne wiadomości o nieczystych siłach w okolicy (czyżby nigdy nie próbowano egzorcyzmów?). Pytał i nagabywał, częstował winem, prawił grzeczności – wszystko na nic. Garść ogólnych i mglistych informacji, tyle właśnie otrzymał w zamian. Ktoś coś widział, inny kiedyś słyszał... Przede wszystkim, mało kto prawdziwie wierzył w Domy Reus. To nie było mroczne księstwo Saywanee, ani przeklęta przez Stwórcę prowincja Valaquet, gdzie na każdym kroku straszyły upiory przeszłości, a stara magia wielokrotnie odżywała wobec licznych świadków. Na ziemiach Zjednoczonych Królestw – a już zwłaszcza w samej Nolandii – opowieści o demonach i piekielnych zaprzedańcach miano za bajania. Chal-Chenet – bo tak nazywał się przybyły do Moun szlachcic – najpierw nie potrafił tego pojąć. W swym niedługim lecz nader barwnym życiu zobaczył dość dziwów i był świadkiem dość wielu wydarzeń, by nie wątpić nawet w istnienie starożytnej krainy Heastseg, którą przed wiekami pochłonęło morze.

Lecz cóż? Tutaj wszystko miano za legendę, zabobon... Owszem, ludzie z gminu powtarzali różne opowieści, ale – jako się rzekło – sami nie do końca w nie wierzyli. A już człowiek stanu szlacheckiego, pragnący uchodzić za światłego i rozumnego, musiał wręcz kwitować śmiechem wszelkie tajemnicze historie. Ostatecznie, mogło coś niedobrego wynikać z poduszczenia Szatana... Ale stare magie? Pogańscy bogowie, potwory?

Chal-Chenet nie mógł się nadziwić takiemu ślepemu światu. Ach, więc nie istnieje żadna magia? Proszę, zatem nie ma demonów? Kimże zatem ja jestem – chciał pytać – skoro własną szpadą wspierałem człowieka, który, by odkupić winy swego rodu, usiłował zniszczyć zmartwychwstałą lodową magię Valaquet? Kim był ów człowiek, jeśli nie przekleństwem dziedziczącym wszystkie grzechy Kawalerów Świeckiego Zakonu Rycerskiego? Czy nikt tutaj nie odbywał podróży – jeśli nawet nie do dalekiej ziemi Saywanee, to chociaż właśnie do Valaquet, prowincji leżącej przecież w obrębie państwa? A ohydna nieczysta siła, nazywana Klątwą Arelay? To ościenny kraj – blisko, tuż, za miedzą!

Takie i podobne myśli nurtowały Chal-Cheneta, gdy po raz ostatni kładł się na spoczynek w niezbyt drogim zajeździe, gdzie wynajął był pokój, płacąc za kilka dni z góry. Nie potrafił powiedzieć, co uczyni dnia następnego; dalszy pobyt w Moun mijał się chyba z celem. Wszakże kawaler Chal-Chenet dość miał na razie podróży. Prawdę rzekłszy dość miał wszystkiego.

W Valaquet, skąd przybywał, dopalała się wojna domowa. W przeklętej prowincji, z woli i za przyzwoleniem króla, wciąż sprawowali władzę spadkobiercy tradycji Bractwa Rycerskiego. Przed wiekami, kawalerowie zakonu ponieśli pogańskim ludom krzyż, razem z krzyżem zaś ogień i miecz. Nawrócili – jak powiadano – cztery miliony dusz, kierując je prosto do Stwórcy, On zaś chyba przyjął te dusze, lecz w zamian nie zechciał przyjąć czarnych dusz misjonarzy. Wytępiwszy całe narody, przekłęci przez Boga i ludzi, mieli po wiek wieków zarządzać upiorną prowincją, gdzie wciąż powstawały z martwych widma pradawnych wierzeń, w imię Zbawiciela utopionych we krwi. I oto teraz właśnie wojna domowa, rozpętana przez wicekrólową przeciw własnej córce, rozbudziła potęgę, o których nic dotąd nie wiedziano, lub raczej o których zapomniano. Chal-Chenet był wprawdzie żołnierzem wicekrólowej, Pierwszej Damy Bractwa Rycerskiego, Dostojnej Weroniki Teresy Se Alide Sar, potem zaś własną piersią osłaniał jej syna, toczącego beznadziejną walkę z magią lodu i śniegu. Odprawiony przez swego wodza porzucił następnie służbę i przybył do Nolandii, bo dość miał chwały i walecznych czynów, teraz pragnął tylko odpocząć.

Lecz widocznie pragnął zbyt wiele. Przemierzając kraj, jechał tym samym szlakiem, który przed wiekami przemierzali rycerze krzyżowi, bo innego szlaku z owego końca świata nie było – tyle tylko, że zamiast bezdroży miał pod końskimi kopytami bity trakt. Rychło jął dostrzegać liczne uroczyska, kurhany, zagrzebane w ziemi obeliski wytyczające kręgi. Ileż takich miejsc oglądał w kraju, z którego właśnie wyjechał! Zdjął go lęk. Łatwo było się dziwić mieszkańcom prześwietnego królestwa Nolandii, że nie wiedzieli o demonach Valaquet... A przecież podobnie on sam nie wiedział, że szczątki starych wierzeń rozrzucone są wszędzie, bo chyba po całym świecie. Więc różne magie istniały nie tylko w Valaquet; nie tylko w odległych księstwach Hostenne i Saywanee. Czy te stare magie mogły ożyć? W Valaquet wojna

domowa zdarła śmiertelny całun z pogrzebanych przed wiekami kultów, bo w setkach miejsc, gdzie zgodnie z gminną wieścią widywano zjawy unicestwionych domów, świątyń, cmentarzy – nieomal z dnia na dzień zaczęły działać się groźne i ponure rzeczy. Lecz i tutaj, w kolebce chrześcijaństwa? W Nolandii, zwanej czasami najstarszą córą Kościoła? Domy Reus! Było to pierwsze takie miejsce położone tuż obok ludzkich sadyb, niemal pod samym miastem... Dlatego Chal-Chenet nie spoczął, aż dowiedział się o nim wszystkiego.

Czyli właściwie niczego.

Jakaś wiedzę jednak mu dano: mianowicie ujrzał, że na próżno szuka spokoju. Widać człowieka, który raz zetknął się z mrocznymi potęgami, musiał walczyć stale i wszędzie, w każdym miejscu i czasie, do końca swoich dni. Ale dawny gwardzista wicekrólowej, potem zaś strażnik życia i zdrowia generała Roberta hrabiego Se Rhame Sar – był właśnie tylko żołnierzem. Dzielnym i wybornie znającym swe rzemiosło, które przecież tak niewiele miało wspólnego z bożkami, demonami i wszelkim zabobonem...



Poranna wizyta zakonnika była dla Chal-Cheneta nie lada niespodzianką. Nie znał w Nolandii nikogo; nie posyłał też po spowiednika, a już zwłaszcza z zakonu protazytów (ani myślał o umieraniu, zaś cotygodniowa spowiedź nie leżała w jego nawykach). A mnich, z owego wielce pobożnego i szczególnie przez Boga doświadczonego zakonu, powołanego najbardziej do niesienia pociechy konającym, przedstawił się oberżyscie właśnie jako spowiednik; tak przynajmniej powiedział gospodarz, zaciekawiony do tego stopnia, iż sam pospieszył z wiadomością, zamiast wyręczyć się służbą.

– Spowiednik, o którego prosiłem?

– Czy wasza wielmożność nie prosił o spowiednika?

Chal-Chenet uznał, że nawet, jeśli zaszła jakaś pomyłka (a zaszła z całą pewnością) to ciekawski gospodarz jest ostatnią osobą, która winna się o tym dowiedzieć. Świątobliwy ojczulek, zbłądziwszy, powinien raczej pomówić ze szlachcicem, niżli być zmuszonym do przykrych tłumaczeń przed byle groszorem.

– Pokaż drogę – rzekł krótko, nie chcąc zniżać się do kłamstwa w tak błahej sprawie.

– Więc to na pewno do pana?

– Gospodarzu... A czy do ciebie?

Karczmarz podrapał się za uchem i uśmiechnął krzywo, ale oceniwszy postawę, minę, a najbardziej spoczywający w poprzek stołu potężny rapier swego gościa, uznał, iż nie warto przesadzać ze wścibstwem.

– Więc pan życzy, bym pokazał drogę?

– Nie inaczej.

Gospodarz wyszedł. Wkrótce Chal-Chenet posłyszał za drzwiami stukot drewnianych chodaków, które zawsze, bez względu na porę roku, nosili zakonnicy w granatowo-białych habitach. Kołatanie do drzwi było ciche, nieledwie pokorne i lękliwe.

– Proszę wejść.

Drzwi otwarły się, przepuszczając niewysoką, zakapturzoną postać oraz – jakże by inaczej – oberżystę.

– Wasza wielmożność, oto...

– Wynoś się pan, z łaski swojej – rzekł Chal-Chenet głosem cichym, ale tak szczególnym, że gospodarz zniknął, jakby go nigdy nie było.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – rzekł zakonnik.

– Na wieki wieków. Rad będę, jeśli dalsze słowa ojca będą równie ciche, jak pozdrowienie. Gospodarz to nicpoń; mogę ręczyć, że podsłuchuje pod drzwiami, a jeśli jeszcze tego nie czyni, to lada chwila zacznie.

– Nie będziemy krzyczeć. Czy jest pan kawalerem Chal-Chenet?

– Nie inaczej. Lecz skąd ojciec zna moje nazwisko? Zdaje mi się, że zaszła przykra pomyłka. Nie prosiłem o spowiednika, niemniej chciałbym...

– Krąży wokół ciebie śmierć, synu. Spowiednik jest ci bardzo potrzebny.

Szlachcic zamilkł.

– Doprawdy, co ojciec może o tym wiedzieć? – zapytał po krótkiej chwili. – Z całym szacunkiem dla zakonnej sukni, takie rzeczy wie tylko Bóg. Proszę mi powiedzieć, skąd jest znane ojcu moje nazwisko?

– Był pan w klasztorze ojców bertystów i przedstawił się.

– Ale ojciec jest przecież protazytą, a w Moun nawet nie ma klasztoru protazytów. Proszę mnie poprawić, jeśli pomyliłem zgromadzenia, bo... doprawdy nie jestem biegły...

– Klasztoru nie ma. Wędrując, znalazłem gościnę pod dachem ojców bertystów. Odwiedziłem też proboszcza miejscowej parafii i znowu zetknąłem się z pańskim nazwiskiem. Kawalerze, proszę, byś powierzył mi swoje sekrety. Pod tajemnicą spowiedzi.

Przybysz z Valaquet milczał, coraz bardziej zdziwiony nieoczekiwanym przebiegiem rozmowy. Wstał, wziął ze stołu tkwiący w pochwie rapier, otworzył drzwi i podetknął ręką pod nos przygarbionemu oberżyscie.